

Władysława Czyż

Leszek Czyż

Władzia z Lemana na Kurpiach

12 maja 1926 roku w Warszawie dokonał się tzw. zamach majowy. W mieście doszło do walk ulicznych, w których zginęło prawie 400 osób. W dwa dni później Piłsudski przejął kontrolę nad Warszawą. Rząd [Witosa](#) podał się do dymisji, a prezydent Wojciechowski złożył urząd. Tak oto zamach rozpoczął [autorytarne](#) rządy [sanacji](#).

Ale kto by o tym słyszał gdzieś daleko na północ od Warszawy, nad samą pruską granicą. Tutaj ta polityczna gorączka nie dotarła, a jeśli jakieś jej echa pojawiły się na tym skraju Kurpiowskiej Puszczy, to ze sporym opóźnieniem. Tutaj życie toczyło się zupełnie innym torem. Tutaj co innego wyznaczało rytm codziennych zmagania. Nie politycznych, rzecz jasna, a tych z naturą. We dnie intensywne prace polowe, a wieczorem pod kapliczką litanie i pieśni wielbiące Pannę Przenajświętszą.

Dwa miesiące później w dużym starym domu, co to trzy rodziny pomieścił, Marianna Ignacowa, ta od Jabłońskich porodziła dziewczynkę. W miejscowym kościele, co go ledwie ksiądz Dziondział z kaplicy przebudował łośńskiego roku, na chrzcie dali jej Władzia. Rosła mała Władzia jak na drożdżach, czas spędzając na różnych zabawach, jak to dzieci. Po ośmiu latach na świat przyszło jeszcze jedno dziecko. Młodszej i jedynej siostrze Władzi dano na imię Halina. Razem z Marysią i jej dwójką córek mieszkała jeszcze jej matka i troje rodzeństwa: siostry Eleonora i Bronisława oraz brat Bolek. Mieszkanie stanowiło w zasadzie jedno pomieszczenie z małą komórką. Była część kuchenna z dużym zapiekiem połączona z miejscem na spanie i wypoczynek. W rogu niewielki stolik, na którym stał krzyż i świece – typowy kurpiowski ołtarzyk, dekorowany kwiatami z bibuły w okresie przedświątecznym. Pod jednym oknem stała szeroka ława, a pod drugim kufer. Za ścianą mieszkali Sadłochy i Olszewscy. Też mieli dzieci, więc było się z kim bawić. Kiedy jednak nieco podrosła trzeba było pomagać w domu. Najczęściej dzieci spędzały długie godziny na pasieniu krów. Krowy trzeba było pognać dość daleko, za wieś, aż pod Ksebkę do Soda. Ponieważ wówczas krów w gospodarstwie nie było dużo, więc kilku sąsiadów uzgadniało, że krowy zganiało się do jednego stada, a raczej stadka i goniło na łąki. W ten sposób Władzia mogła parę groszy zarobić. Wcale nie było to łatwe, bo trzeba było wstać razem ze słońkiem, a i nie zawsze była piękna pogoda. Nieraz zmokła w ulewnym deszczu, choć chroniła się w kopie siana czy stogu. Nieraz wystraszona czekała aż przejdzie burza, nieraz bose nogo marzły w kałużach. Już o ósmej trzeba było przygnać krowy z powrotem, bo baki cięły, a później znów na łąkę i aż do zmierzchu. Nie narzekała jednak, nie skarżyła się. Taki przecież był los i innych dzieci. Dobrym była pasterzem, bo nie pozwoliła żadnej krowie zboczyć z drogi, a tym bardziej jeśli np. po obu stronach rosło zboże czy kartofle. W lesie szły jedna za drugą trzymając się wydeptanej ścieżki.

Skończyła 13 lat gdy wybuchła wojna. Bardzo się bała, gdy samoloty nisko przelatywały z

Władysława Czyż

wielkim hukiem. Zdawało się, że tuż nad lasem, nad domami. Bali się wszyscy. Jeśli ktoś był poza domem, to kładł się do rowu. Wydawało się, że będą strzelać albo bomby zrzucić. Młodzi chłopcy zaczęli uciekać do Nowogrodu, ale szybko zawrócili się, bo tam już byli Niemcy, a za Pisą Rosjanie. Kiedy pewnego dnia Władzia wracała z krowami, naprzeciw wyszła jej matka. Bała się, bo Niemcy byli już we wsi. Na plebanii w piwnicy urządzili sobie kantynę. Gdy gromadka dzieci podeszła z ciekawości do plebanii, Niemcy rzucali garściami cukierki. Bawiło ich gdy dzieci łąpczywie rzucały się na słodycze. Nikomu jednak nie zrobili nic złego.

Pewnego wiosennego dnia 1942 roku sołtys przyszedł z wiadomością, że zabierają Władzię na roboty. Oczywiście nie była sama. Zabrali, mężczyzn i kobiet, kilkanaście osób, nawet całe rodziny. Z Ksebek jechało młode małżeństwo z dwójką dzieci. Zabrali też Zosię od Zadrogów, koleżankę Władzi. Do Turośli zawieźli ich furmanką sołtysa, stamtąd kolejką wąskotorową powieźli ich aż do Ostrołęki. Nie wiedzieli gdzie ich wiozą. Słysząc było i ciche łkanie i odgłosy szeptanych pacierzy. Nie dane im było wielkanocnych świąt spędzić z rodziną. Zgonili wszystkich pod eskortą do jakiejś wielkiej sali, a następnie pojedynczo stawali przed lekarzem. Należało rozebrać się do naga, a lekarz kazał obrócić się dookoła i wydawał diagnozę „gut”. Sala opróżniała się. Została już tylko Władzia z Zosią. Wreszcie przyszła jakaś Niemka i wyczytała ich nazwiska. Poszły za nią. Była dość miła.

Z Ostrołęki czekała je kilkugodzinna podróż do Königsberg (Królewca). Rodzina, do której przybyła Władzia, mieszkała w swoim domu z małym sadem i warzywną grządką na przedmieściach. Mieli czwórkę dzieci w wieku szkolnym, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Najpierw mieszkała u innej rodziny, a do nich codziennie przychodziła do pracy. Zakwaterowali ją w małym pokoiku na poddaszu razem z Marysią pochodzącą z Myszyńca. Marysia mieszkała tam już wcześniej. To była zdolna dziewczyna.

„Fest mogła układać żerse i listy, co pisałym do domu - idź listecku w droge, bo jo z tobó iść nie mogę, a jek przydżes pod okenko, to zastukoj ćichuteńko, a jek przejdżes próg, to pokłón się mojej mamusi do samech nóg”.

Władysława Czyż



Z Marysią Władzia mieszkała około tygodnia. Pewnego wieczora, kiedy wróciła po pracy na poddasze nie zastała już Marysi. W pokoju było ciemno. Zapaliła naftową lampę, która stała na stole. Rozejrzała się, zajrzała do szafy i ... nie było tam ubrań Marysi. Ogarnął ją wielki smutek, wręcz rozpacz – zaczęła głośno płakać. Usłyszeli to gospodarze. Przybiegła gospodyni i próbowała Władzię uspokoić. Tłumaczyła, że nic złego się nie stało, a Marysię przeniesiono w inne miejsce. Nie mogła jednak jej uspokoić. Po chwili przyszła po Władzie gospodyni, u której pracowała. Przekwaterowali ją do siebie jeszcze tego samego wieczora, choć wcześniej twierdzili, że u nich nie ma miejsca. To był mały pokoik, w którym stało łóżko, a nad łóżkiem wisiał duży krzyż.

Do obowiązków Władzi należało zajmowanie się domem, a także pielęgnacja małej grządki warzywnej. Towarzyszył jej mały piesek, pupilek gospodarzy. Bardzo rozpaczali, gdy pewnego dnia gdzieś zaginął. Czasem przychodziła do nich krawcowa, której Władzia pomagała. Lubiła to robić. W domu często fartuchy szyła, lalki. Krawcowa chwaliła Władę, bo tak ją tam nazywali, że jest pojętną dziewczyną. Po pewnym czasie gospodarze tak jej zaufali, że nawet samą do sklepu posyłali. Rozumiała wszystko. Łatwo przychodziła jej nauka niemieckiego języka. Idąc ulicą widywała nieraz innych niewolników, których Niemcy przewozili gdzieś samochodami do pracy. Byli wśród nich także Polacy. Krzyczeli do niej, pozdrawiali. Wiedzieli, że Polka, bo widać było z daleka opaskę na rękawie z literą P. Za każdym razem, gdy wracała ze sklepy, gospodyni wyraźnie okazywała jej swoje zadowolenie. To byli przyzwoici, dobrzy ludzie. Mimo tej maszyny ideologicznej, zakładającej zniewolenie człowieka przez człowieka, w którą zostali wkręceniu, nie zatracili się jednak w swym człowieczeństwie.

„... dobre były, jedzenie przede mno nie wydźelaly. To co chćalam, to brałam i jadłam. Pańetom jek na Żelganoc przysła do mńe ta gospodyni z dżecokańi, przyńosły ni na takim

Władysława Czyż

plecionem talerzu pomarańco, písanke i jesce coś i złożyły ni zycenia”.

Zosię wzięła inna rodzina. Raz tylko pozwolili jej odwiedzić Władzię. Mogły chwilę porozmawiać, pożalić się wzajemnie i zapłakać z tęsknoty za domem. Ciotka Władzi Bronisława pracowała wtedy jako służąca u pewnego niemieckiego lekarza w pruskiej Turośli. Dzięki temu język niemiecki znała wręcz biegle. Ta umiejętność bardzo później się przydała.

W kwietniu 1942 roku nastąpiły dość intensywne naloty lotnictwa angielskiego na Królewiec. W czasie nalotów Niemka zabierała swoje dzieci i Władzię do bunkra, który znajdował się ok. 500 m od ich domu. Był to bardzo długi niski budynek z grubymi betonowymi ścianami, ale zbudowany na powierzchni, a nie jak to często bywało – pod ziemią. W środku były po bokach boksy, w których stały jakieś stołki, ławki, a nawet w niektórych łóżka. Władzi i innym niewolnikom nie wolno było tam wchodzić. Stali więc na korytarzu. Po zakończeniu bombardowania chodziła z innymi oglądać zgruzowane miasto. Widziała mieszkańców, którzy snuli się pośród gruzów ze smutkiem oglądając dzieło RAF-u. Wreszcie przyszedł list z domu, w którym ciotka Bronisława obiecała odwiedzić Władzię. Docelowo jej plan był zgoła inny. Jednak na wszelki wypadek, gdyby list dostał się w ręce gospodarzy, napisała tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Władzia poinformowała o odwiedzinach swoją panią. Ta na początku nie była zachwycona tym faktem, lecz w końcu zezwoliła na odwiedzinę ciotki. Zadała tylko kilka pytań:

- A gdzie ciotka będzie spać?
- Ze mną. - odrzekła Władzia
- A co będzie jeść?
- Przywiezie ze sobą.

Za jakiś czas ciotka Brącia przyjechała. Był to w zasadzie pewien rek



onesans. Chciała rozeznać się w sytuacji, a jednocześnie uspokoić czujność niemieckich gospodarzy. Wizyta ciotki zbiegła się z jakąś rodzinną uroczystością, mogły to być urodziny gospodyni. Ciotka Brącia sprytnie wykorzystała ten fakt. Wysprzątała cały dom, wyczyściła okna, starła kurze. Nie uszło to oczywiście uwadze pani domu. Była bardzo zadowolona. W dowód wdzięczności nawet dodatkowe rozkładane łóżko przyniosła i dwiema pierzynami zasłała. A i stół wręcz uginał się od rozmaitych przysmaków, co u Niemców we zwyczaju nie leżało i chyba nie leży. Jednym słowem przypadła do gustu niemieckiej gospodyni Bronisława, co to niemalże błyskawicznie i o pracowitości swej przekonała, i świetną znajomością języka zaskakiwała, i ogłada. Ciotka nie bawiła zbyt długo w Królewcu. Po dwóch dniach odjechała. Wychodząc zwróciła się do gospodyni z pewną ofertą. Otóż zaproponowała, że do domu pojedzie Władzia, a ona zostanie. Niemka kategorycznie odmówiła. Po wyjściu ciotki przyszedł akurat inkasent. Niemka opowiedziała mu o tej propozycji. Władzia słyszała tę rozmowę i rozumiała co mówią. - To sprytna kobieta. - mówiła Niemka - ona na pewno uciekłaby stąd.

Władzia dowiedziała się od kogoś, że ciężko chorych zwalnają do domu. Postanowiła udawać, że boli ją noga. Gospodyni zawiozła ją do lekarza. Lekarz dokładnie zbadał nogę i przepisał jakąś maść i tabletki. Chodziła więc teraz z obwiązaną szalikiem nogą umiejętnie utykając. Tabletki oczywiście wyrzucała do ubikacji. O zwolnieniu do domu jednak nie było mowy. Po kilku tygodniach ciotka Bronisława przyjechała ponownie, ale tym razem w towarzystwie dwóch kobiet. Pani Zadroga przyjechała po Zosię, a pani Stachelek po swego syna. Gospodarze byli jeszcze w pracy. Tym razem ciotka została w parku, a do Władzi poszła pani Zadroga. W krótkiej rozmowie poinformowała Władzie, że ciotka jest w parku i że właśnie przyjechały po nią, po Zosię i tego chłopca. Serce Władzi zaczęło walić jak młot. Spróbowała jednak zachować zimną krew. Gospodyni była już w domu. Władzia poszła do

Władysława Czyż

łazienki przebrać się. Założyła na siebie odświętne ubranie, a na nie to, w którym chodziła na co dzień. Spytała gospodyni, czy może odprowadzić znajomą. Ta jednak odmówiła, bo widocznie zrozumiała, że Władzia chce z nią jechać. Kiedy jednak przekonała się, że chodzi tylko o krótki spacer – zgodziła się. Poszły powoli w kierunku dworca. Niestety Władzia zostawiła część swoich rzeczy i walizkę. Najbardziej żałowała, że zostały też listy, które otrzymywała z domu, na których był adres zwrotny. Wreszcie dotarły do parku. Przyszła też i Zosia. Ciotka oczywiście już czekała. Z nogi odwiązały szalik, z rękawa zdjęły opaski, a na głowę ciotka założyła Władzi chustkę i zawiązała na niemiecką modę. Bały się, żeby nie spotkać po drodze gospodarza, który nie wrócił jeszcze z pracy. Ruszyły rażno przed siebie, choć wszystkie bardzo się bały. Ciotka zabroniła się odzywać i zbytnio rozglądać. Doszły do dworca. Z megafonów ogłaszano odjazd jakiegoś pociągu. Władzia stanęła jak wryta i zbladła ze strachu.

- Co ci jest? - spytała ciotka.

- Juz sukajo nas?

- Nie bój się. Głoszą, że za chwilę pociąg do Jańsborka odchodzi.

Weszły na dworzec. Ciotka poszła do kasy i kupiła dla wszystkich bilety. Nakazała po cichu, aby szybko iść za nią na peron. Ledwie przeszły za przejście prowadzące na perony, usłyszały krzyk kasjerki – Polen, sind sie Polinnen! Ciotka nie kazał się zatrzymywać ani odwracać. Nikt nie gonił, nie krzyczał. Być może kasjerka nie powiadomiła nikogo. Wsiedli do pociągu. Nawet udało się znaleźć wolny przedział. Coraz bardziej serca wypełniała nadzieja, że uda się, że dotrą do domu, ale dom był jeszcze tak daleko. Z wolna pociąg ruszył. Poczuli ulgę, ale nie na długo. Do przedziału wsiadło dwóch niemieckich żołnierzy. Ciotka zaczęła czytać niemiecką gazetę, a Władzia oparła głowę o okno i udawała, że drzemie. Zosi jednak trudno było ignorować zaczepki żołnierzy. Zerkąła, chichotała. Jeden z wojaków w pewnym momencie zaczął przeklinać łamaną polszczyzną. Władzia struchlała i zaczęła nieznacznie łokciem dawać znać Zosi, aby nie śmiała się, nie reagowała. Widocznie jakoś rozpoznali, że mają do czynienia z Polkami. Na szczęście na następnym przystanku wysiedli. Do końca podróży już nikt nie wszedł do przedziału, ani też nie było żadnej kontroli. Do Pizsa dojechali nocą. Po wyjściu z pociągu od razu kierowali się na południe w kierunku lasu. Przy dworcu były lampy. Staraly się, aby jak najszybciej zejść z oświetlonego terenu. Nagle rozległ się czyjś donośny krzyk – Polen, Polen!, a na nich padł snop światła z jakiejś lampy. Nie było odwrotu. – Szybko, biegiem!- rozkazała ciotka. Zaczęły uciekać w ciemność. Wpadły na jakieś ogrodzenie z drutu kolczastego. Zaplątały się. Jakoś udało się im przedostać dołem. Zobaczyły nieopodal ścianę lasu. Kiedy wreszcie udało się dotrzeć do lasu ciotka obejrzała się i powiedział – Teraz to możecie nas

Po ciemku, po omacku, ale z ogromną już nadzieją w sercu szły lasem aż do Lemana. Świtało, gdy zmęczone, ale i szczęśliwe dotarły do Lemana. Nie poszły jednak do domu.

Władysława Czyż

Zatrzymały się na skraju wsi w trawie nad kanałem. Ciotka Brącia poszła do domu. Po chwili przysłała mama Władzi i przyniosła jedzenie. Na noc wróciły do domu, ale nie odważyła się jeszcze spać we własnym łóżku. Przenocowała w ukryciu u sąsiadów. Razem z Zosią tę pierwszą noc w rodzinnej wsi spędziły w bruździe między owsem a konopiami. To był początek ukrywania się. Wróciła do domu, ale mieszkać w nim nie mogła. Wiele nocy spędziła w różnych kryjówkach. Pierwszą zrobili sąsiedzi Olszewscy. W szopie obok chlewika, gdzie stały owce wykopali spory dół i zamaskowali go. Ziemię wynieśli i rozsypali, by nie było podejrzeń. Wejście było od strony owiec. Należało odsunąć koryto, a następnie zasunąć je nad sobą. Komfortu nie było, ale kto by o to wtedy dbał. Druga kryjówka była u Kulisia, sąsiada przez drogę. Też wykopali Władzi dół w szopie. Często razem z Zosią nocowały po prostu w chlewie. Najdłużej ukrywała się chyba u Pupka. Tam zrobili jej kryjówkę w zasięku. Po młóceniu snopki układano w zasięgach. Ułożyli tak, że w środku było puste miejsce, gdzie po wejściu zastawiała się snopkiem. A wchodzić należało pod podwaliną.

- „Jek psersej nocy posłam tam spać, to przysła do mnie Pupkowa Helena, zeby się dożedzić jek ni w tej kryjówce. Przysła i z cicha mnie woła, roz i drugi. Z początku nie poznałam chto to, toteż się nie odzywałam. Nareszcie się odezwałam - a co chcecie? - Mój rety, cale się przeraşıłam - mozi - ze się tu uduşılaś, bo się nie odzywos”.

Nie było lekko Władzi w tej kryjówce, ale nie bała się, nawet wtedy, gdy zza koszuli wyrzuciła mysz. Bała się Niemców, bała się powrotu do Królewca, a może czegoś gorszego, co mogło spotkać za karę uciekiniera. Najgorzej było jesienią i zimą kiedy trzeba było nocować w chlewie na sianie. Ubierały się z Zosią w co tylko się dało, owijały chustą i zagrzebywały w sianie. Tak spędziły wiele nocy.

Władysława Czyż



W ciągu tych kilku miesięcy y ukrywania okazało się, że chyba jednak nikt ich nie szuka. Wprawdzie przyszedł jeden list z Królewca od gospodarzy, u których pracowała Władzia, ale nie pociągnęło to za sobą żadnych konsekwencji. W liście obiecano, że jeśli Władzia wróci, to nie spotka jej żadna kara. Ciotka Brącia i tym razem wykazała się przytomnością umysłu. Napisała list rzekomo od matki Władzi, że bardzo tęskni i martwi się dlaczego wciąż nie ma żadnych wieści o swej córce. Może ci Niemcy uwierzyli, że ich młoda gospośnia zaginęła gdzieś, a może po prostu byli już zajęci ratowaniem własnej skóry przed nadciągającą bolszewicką nawałnicą ze wschodu. Tak czy owak dziewczęta coraz śmielej wychodziły do ludzi, a nawet zaczęły chodzić na tzw. roboty. Sołtys Marchewka wyznaczał mieszkańców do kopania okopów. Niemcy widać planowali organizować jakiś opór na lemańskiej wydmie. Nie przydały się im jednak te umocnienia.

Wojna dobiegła końca i gdyby nie łapanka w 1943 roku, to można byłoby rzec, że nie obeszła się zbyt srogo z mieszkańcami Lemana. Jednak ten straszny niemiecki odwet za akcję jaką oddział AK przeprowadził w Turośli, okrył większość mieszkańców żałobą na długie lata. Niemcy z kilku przygranicznych wsi powieźli kilka ciężarówek do KL Stutthof czy Działowa.

Władzia po wojnie wyszła za mąż za Stasia, bliskiego sąsiada, który jeszcze podczas wojny upatrzył sobie starszą córkę Ignacowej Marysi. Gospodarzyli razem na kilkunastu hektarach przez wiele lat, a cały czas towarzyszył im wzajemny szacunek i miłość; ta miłość, którą obdarowali hojnie swoją córkę i trzech synów. Bo przecież nie można nauczyć miłości, jeśli

Władysława Czyż

samemu się jej w sercu nie nosi.

Leszek Czyż

Autor wpisu: **Leszek Czyż**